

KSIĄŻKA

BULGOT
ŻYCIA

Mariusz Urbanek wyspecjalizował się w zwięzłych biografiach współczesnych postaci. Pisał m.in. o Tyrmandzie, Brzechwie, Broniewskim. Teraz zajął się Marianem Eile, który założył i przez prawie ćwierć wieku redagował słynny „Przekrój”.

Eile należał do grona wielkich redaktorów polskich, jak Jerzy Giedroyc czy Marian Grydzewski, u którego zresztą Eile terminował w „Wiadomościach Literackich” przed II wojną światową. Zdobywszy tam kompetencje, trafił się jak znalazł, gdy trzeba było powoływać tytuły prasowe w świeżo wyzwolonej spod niemieckiej okupacji Polsce. Nowa władza potrzebowała gazet do indoktrynacji mas; Eile odpowiedział na to po swojemu, tworząc dziwoląg na propagandowym rynku, z którym oszołomieni decydenci nie wiedzieli, co począć, a który bardzo spodobał się czytelnikom. W latach 60. sprzedaż „Przekroju” przekraczała pół miliona; ciotka kioskarka opowiadała, że z każdym nadziałem przychodziła do kiosku porcja egzemplarzy do sprzedania na lewo – to brać drukarska chciała mieć udział w finansowym sukcesie tygodnika Eilego.

Biografia Eilego charakteryzuje się wszystkimi zaletami książek Urbanka: jest ciekawa, naświetla tę postać z różnych stron, omawia korzystne i przykre cechy redaktora (np. niechlujstwo w odziewaniu się, mrukliwość czy apodyktyczność), prowadzi czytelników po dramatycznych epizodach z jego życia. Ale też pokazuje, jakim artystą był Eile; nie chodzi o jego obrazy abstrakcyjne, którymi nie zawojował nawet Polski, bardziej o słuch literacki, reagowanie na „bulgot życia”. Jego bon moty i paradoksy to perełki, choćby taki: „Bigamia – pewna powściągliwość w porównaniu z trigamią”. Jako autor „Przekroju” realizował się w miniaturkach graficznych i literackich, i tak zapamiętałem tę gazetę, gdy ją za młodu czytałem: jako zbiór smakowitych rubryczek, od których lżej się robiło na duszy, a świat wydawał się radośniejszy.



Urbanek zadał sobie też trud przeniknięcia tajemnicy uwielbienia „Przekroju” przez czytelników. Świadczenie mówią, że Eile chciał wyprodukować polską wersję „Playboya”. Moim zdaniem nie chciał, bo nie mógł zamieszczać zdjęć rozebranych pań, próbował jedynie naśladować formułę miesięcznika Heffnera: trochę prozy, świetne wywiady, trochę publicystyki, ale dalekiej od ideolo, trochę sieczki na tematy wszystkie. Eile tworzył to, co mu grało w genach, do czego miał rękę. Dochodziła dewiza redaktorska: „Pismo trzeba redagować tak, żeby mogła je czytać bardzo inteligentna sprzątaczką, prosty profesor i prymitywny minister”.

Jest dziwne, że pismo takie mimo nacisków ideolo tak długo utrzymywało się na rynku z tym samym naczelnym. Urbanek dochodzi do wniosku, że to premier Cyrankiewicz trzymał nad tyłkiem Eilego parasol ochronny, i teza ta brzmi wiarygodnie. Ale i tak trzeba było płacić trybut w postaci kilku kolumn (stron) mających zadowolić komunistycznych decydentów. Fenomen „Przekroju” i jego sternika polegał bodaj na tym, że pod okiem nadzorców Eile robił pismo kompletnie odstające od pryncypiów propagandowych tamtego czasu. „Przekrój” stopniowo wychowywał sobie czytelników, ale także władzę, i po 20 latach kuracji ani społeczeństwo, ani władza nie były już takie same.

Nie bardzo rozumiem, po co Urbanek powtarza w podtytule za Tyrmandem określenie „pocziwy cynik”. Jest ono w stosunku do Eilego zupełnie nietrafne. Eile był szczwanym graczem, który przejmował się naciskami z góry i starał się nie rzucać w oczy. Groźne momenty starał się przeczekać, ale przyszedł rok 1968 i trzeba było wyjechać do Paryża, choć formalnie nikt Eilego nie wypędzał. Imponuje, że na emigracji potrafił zarobić na życie rysunkami we „France-Soir”. Ale gdy wrócił do Polski, w „Przekroju” już nie było dla niego miejsca. /©©

Marek Oramus

„Marian Eile. Początki i koniec z „Przekroju”,

Mariusz Urbanek, wyd. Iskry